

Jak pomagać potrzebującym?

Autor: Jakub Bożydar Wiśniewski

Zgodnie ze stanowiskiem nazywanym priorytaryzmem, w pierwszej kolejności powinno się pomagać tym, którzy znajdują się w najgorszej sytuacji materialnej. Biorąc pod uwagę obowiązywanie prawa malejącej użyteczności krańcowej, należałoby uznać, że jest to stanowisko rozsądne. Prawdopodobnym jest, że pomoc dla tych, których najbardziej podstawowe potrzeby nie są zaspokojone, przyniesie bardziej znaczny wzrost społecznej użyteczności, niż na przykład dawanie kosztownych prezentów milionerom.

Uznawszy jednak powyższą tezę, zadać należy kluczowe w tym kontekście pytanie: jak pomagać tym najbardziej potrzebującym i kto miałby się tym zająć? Zgodnie z rozróżnieniem Oppenheimera mamy tu do wyboru dwie opcje: opcję polityczną, czyli opartą na przymusowej redystrybucji, oraz opcję ekonomiczną, opartą na dobrowolności i kontraktowości lub charytatywności. Pierwszą z tych opcji są w stanie bezpośrednio realizować jedynie politycy oraz urzędnicy, pośrednio zaś wyborcy, drugą natomiast jest w stanie realizować każdy, niezależnie od wieku, stanu i zasobności portfela.

Początkowo mogłoby się wydawać, że kontrolowany przez polityków aparat przemocy i przymusu może być skutecznym gwarantem tego, że część bogactwa wypracowywanego przez posiadający odpowiednie pobudki i możliwości segment społeczeństwa trafi do tych grup, które z rozmaitych, często niezawinionych względów nie są w stanie samodzielnie zaspokoić swoich najbardziej zasadniczych potrzeb. Zanim jednak udzieli się powyższemu rozumowaniu aprobaty, trzeba odpowiedzieć sobie na dwa pytania: jakie mogą być pozostałe konsekwencje tego rodzaju wymuszonej redystrybucji (również te długofalowe i początkowo niewidoczne) oraz jakie mamy powody, aby ufać w jej wydajne i bezinteresowne nadzorowanie?

W niniejszym tekście chcę zasugerować, że konsekwencje politycznie przeprowadzanego rozdziału dochodu społecznego są wyłącznie negatywne. **Po pierwsze**, użyteczność stanowi wielkość psychologiczną, mierzalną jedynie na skali porządkowej i jedynie przez odczuwający jej

wzrost lub spadek podmiot. Tak więc w pułapkę tego, co Hayek określił jako „zgodna pycha rozumu” wpadają wszyscy ci, którzy twierdzą, że pewna (politycznie wymuszona) strata zamożnych może być obiektywnie niższa niż odpowiadający jej zysk ubogich. Skąd na przykład wiadomo, że ubogi nie wyda przyznanego mu zasiłku w sposób nie do końca przemyślany, choćby na doraźną rozrywkę, tym samym pogarszając jeszcze bardziej swoją sytuację? Skąd wiadomo, że zamożny nie gromadzi ogromnej sumy pieniędzy po to, by sfinansować bardzo kosztowną operację medyczną niezbędną dla ocalenia życia lub zdrowia jego bądź kogoś z jego rodziny? Owszem, prawo malejącej użyteczności krańcowej jest logicznie nienaruszalne, ale nie zmienia to faktu, iż istnieją subiektywnie postrzegalne progi użyteczności, po przekroczeniu których konkretne dobra i usługi zmieniają swą klasę przynależności. Przykładowo – nawet jeśli dziesiąty milion dolarów ma mniejszą użyteczność dla jego posiadacza niż dziewiąty milion dolarów, nie oznacza to, że jedenasty milion ma dla niego mniejszą użyteczność niż dziesiąty milion, jeśli wzmiankowana wcześniej operacja kosztuje właśnie jedenaście milionów. Widzimy tu, jak fundusze wchodzące w skład klasy „środków na nieokreślone wydatki” po przekroczeniu pewnego progu wielkości przechodzą do klasy „środków na niezbędną operację medyczną”. Żaden organ polityczny nie jest w stanie zgromadzić (czy raczej gromadzić na bieżąco) całości informacji dotyczących tego rodzaju niuansów jednostkowych istnień. Nawet gdyby któryś był w stanie, to ogromne koszty jego obsługi oraz jego głęboko totalitarny charakter winny odwieść każdego człowieka dobrej woli od prób stworzenia podobnej instytucji.

Po drugie, korzystające z przemocy metody rozdzielania społecznego dochodu oddziałują w sposób negatywny na strukturę pobudek wszystkich grup społecznych. Po stronie ubogich niszczą one motywację do szukania i rzetelnego wykonywania produktywniej pracy, budują natomiast skłonność do zdobywania i trwonienia rozdysponowywanych przez klasę urzędniczą subsydiów. Po stronie zamożniejszych zaś obniżają one dążność do maksymalizacji zysków, będących odzwierciedleniem przedsiębiorczości danej osoby oraz wdzięczności wyrażanej przez jej klientów, których potrzeby zostały skutecznie zaspokojone. Ponadto rezultatem stosowania powyższych metod jest erozja naturalnych, oddolnych więzi społecznych, tradycyjnie stanowiących najłatwiej dostępne źródła bezinteresownej dobroczynności, wśród których można wymienić więź rodzinną, sąsiedzka, koleżeńską oraz ogólnoludzką. Ujmując rzecz krotko, ale prawdziwie: po co mam wchodzić w związek małżeński z kobietą lub mężczyzną, jeśli mogę wejść w związek

małżeński z państwem? Po co budować serdeczne relacje ze swoimi sąsiadami, jeśli mogą wejść w polubowny układ z aparatem urzędniczym? Bardziej ogólnymi, obejmującymi wszystkie grupy dochodowe przejawami powyższej tendencji są między innymi: podwyższenie się społecznej preferencji czasowej, a więc mniejsza skłonność do oszczędzania i inwestowania, ograniczenie budowania struktury kapitałowej (odpowiedzialnej za wzrost krańcowej produktywności pracy, wzrost liczby miejsc pracy oraz podnoszenie się realnych płac), a także typowe dla myślenia w kategoriach politycznych nastawienie na krótki okres, szybkie zyski, zwiększanie swego teraźniejszego przychodu kosztem nadmiernego eksploatowania dostępnego kapitału oraz życie na cudzy rachunek wbrew woli drugiej strony.

Po trzecie wreszcie, trudno wyobrazić sobie moralne uzasadnienie dla siłowego zaboru czyjejs uczciwie zdobytej własności, jako że przemoc jest przeciwieństwem argumentacji i uzasadniania. Na polu wymuszanej redystrybucji w sposób nie do końca zrozumiały wyróżnia się często kwestie materialne i pieniężne, nie posuwając się na ogół do włączania w proces politycznego rozdzielnictwa rzekomo niezasłużonych przewag fizycznych czy intelektualnych. Jak retorycznie pyta Walter Block, czemu zwolennicy „sprawiedliwości społecznej” nie opowiadają się na przykład za przymusową redystrybucją zdrowych organów? W końcu możliwe jest życie z jednym płucem lub z jedną nerką, a jeśli poświęcenie drugiej może ocalić komuś życie, to czyż nie jest hipokryzją uporczywe obstawanie za zachowaniem jej dla siebie? W przypadku orędownika politycznych metod pomagania potrzebującym tego rodzaju postawa istotnie może wydawać się nieszczerą. Natomiast sama reakcja jest jak najbardziej zdrowa i naturalna – świadczy ona bowiem o tym, że dany człowiek szanuje tak swoją, jak i cudzą integralność cielesną, której naruszenie oznaczałoby, iż naruszający przyznaje sobie dokładnie te same prawa, jakich pozbawia ofiarę swej agresji (co, przyjmując, że zasady moralne obowiązują wszystkich w równym stopniu, wikła agresora w sprzeczność logiczną, a więc uniemożliwia racjonalne uzasadnienie jego postępowania). Warto byłoby, aby z owego szacunku dla nienaruszalnej integralności ludzkiego ciała wynikał także szacunek dla równie nienaruszalnej integralności ludzkiej własności.

Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę, że żadne z wyżej wspomnianych zagrożeń ani negatywnych następstw politycznych metod zaspokajania potrzeb nie odnosi się do ich *ekonomicznych* odpowiedników. Zdanie się na dobrowolność, kontraktowość i charytatywność nie utrudnia akumulacji

kapitału, sprzyja tworzeniu się naturalnych więzi społecznych, nie gasi w ludziach inicjatywy i pracowitości ani nie wystawia kogokolwiek na niebezpieczeństwo ulegnięcia „zgubnej pysze rozumu”. Wydawać by się więc mogło, że nie istnieje żadna przewaga procedur politycznych, jaką można by przytoczyć w niniejszym kontekście, i że w związku z tym zadowolająco odpowiedzieliśmy sobie na tytułowe pytanie. Innymi słowy, odpowiedź na zagadnienie „co jest w stanie pomóc potrzebującym” brzmiałaby: szacunek dla praw własności prywatnej, podział pracy, niska preferencja czasowa, przedsiębiorczość, prywatna filantropia, praca, wiedza, kapitał i przede wszystkim swoboda działania, która jest *sine qua non* całej reszty wymienionych tu elementów.

Ktoś mógłby jednak w tym punkcie zaproponować, twierdząc, że powyższe rozwiązanie przecenia ludzką naturę. Wątpliwość, o której myślę, mogłaby pewnie zostać wyrażona w następujący sposób: większość ludzi jest zbyt samolubna, interesowna lub zwyczajnie leniwa, by wykrzesać z siebie ilość dobroczynności niezbędną do wspomnienia wszystkich tych, którzy z przyczyn niezawinionych nie są w stanie zaoferować społeczeństwu jakichkolwiek dóbr i usług o wartości rynkowej. Prywatna dobrowolność i charytatywność daje jedynie szansę, może nawet znaczną szansę, że potrzebujący a nie będący w stanie zaoferować nic w zamian poza swą wdzięcznością otrzymają niezbędną pomoc, podczas gdy metody polityczne, oparte na przymusie, oferują gwarancję takiej pomocy – i w tym przejawia się ich istotna przewaga. Powyższe argumenty zatem, jakkolwiek teoretycznie niezawodne, przegrywają w starciu z realnością niedoskonałej ludzkiej natury.

Zarzut tak postawiony jest dość powszechnie stosowany przez sympatyków etatyzmu i politycznych metod rozwiązywania problemu ubóstwa, jest on jednak w istocie nieuświadomionym zarzutem pod adresem właśnie etatyzmu i politycznej redystrybucji prywatnego mienia. Trzeba sobie uświadomić, że każda wyrażająca go osoba musi stawić czoła następującemu dylematowi: jeśli gatunek ludzki jest naprawdę tak egoistyczny i nieczuły, jak chciałby o nim myśleć formułujący obiekcję, to od owych przywar w żadnym stopniu nie są wolni pracownicy państwowego aparatu oferującego tak zwane „usługi społeczne”. Nie chcąc więc być niekonsekwentnym, trzeba przyjąć, że pracownicy ci wykorzystują ubogich poprzez próby uczynienia z nich roszczeniowo nastawionej klienteli wyborczej, która posłuży umocnieniu ich władzy i kontroli nad mieniem politycznie nieustosunkowanych prywatnych właścicieli. O ile więc ci ostatni mogą zaspokoić swą chciwość i egoizm

wyłącznie na drodze pokojowego zaopatrywania innych w oczekiwane przezeń dobra i usługi, co jest rzeczą jednoznacznie (nawet jeśli niezamierzenie) pozytywną, ci pierwsi mogą folgować swej interesowności i zaborczości poprzez stosowanie wobec innych przemocy i poprzez wysysanie sił witalnych z sektora produktywnego, w cyniczny sposób pozorując troskę nad cierpiącymi nędzę. W świetle powyższej obserwacji niedoskonała natura nawet najpazerniejszego i najniewrażliwszego kapitalisty okazuje się dużo doskonalsza niż niedoskonała natura stwarzającego nawet najlepsze pozory polityka bądź urzędnika.

Jeśli natomiast uznać przedstawicieli państwowego aparatu pomocy społecznej za autentycznie zatroskanych losem żyjących w skrajnym ubóstwie, wówczas rozwiązaniem optymalnym byłoby uświadomienie im, jak wiele niekorzystnych, wyżej opisywanych konsekwencji powoduje istnienie rzeczonoego aparatu, i o ile lepiej byłoby oni w stanie zrealizować swoje zamiary jako prywatni przedsiębiorcy lub osoby zatrudnione w prywatnych przedsiębiorstwach, które procent swoich dochodów obecnie zawłaszczany pod przymusem w formie podatków wykorzystywałyby w celu tworzenia bądź wspierania odpowiednich fundacji charytatywnych. Jeżeli zaś osoby te zasugerowałyby w odpowiedzi, że z chwilą przejścia do sektora prywatnego utraciłyby one swój samarytański etos, nietrudno byłoby domyślić się, jak niewiele jest w ich postawie szczerości.

Podsumowując, w obu powyższych scenariuszach całkowite porzucenie środków politycznych i przemocowych zaowocowałyby znacznie lepszymi rezultatami, również – a może zwłaszcza – dla tych najuboższych. Z niniejszym wnioskiem, który jest jednocześnie zwieńczeniem mojej osobistej refleksji nad pytaniem postawionym w tytule, chciałbym pozostawić zarówno wszystkim przyjaciół dobrowolności działania, jak i skłonnych do przemyślenia swego stanowiska zwolenników etatyzmu.

30 grudnia 2009